

**P**ójść do teatru na tragedię i wyjść zmęczonym — to źle, ale jeszcze nie najgorzej. Może tragedia była po prostu nudną piłą; a może jej głębie i nasilenia emocjonalne przerosły naszą kilkugodzinną wydolność psychiczną. Ale pójść na komedię, ba, lekką krotoczwilę i wyjść kompletnie wypłutym — to nie tylko źle, to najgorzej. To luksus duchowy, na jaki nas nie stać.

„Gwałtu co się dzieje” na pewno nie należy do arcydzieł fredrowskich natchnień. W obfitym dorobku komediopisarza ten drobiazg traktowało się zawsze marginesowo. Choć Boy Żeleński, zapamiętały rewizjonista ustalonych opinii historyczno-literackich, rad by mu przypisać „skarby samorodnego humoru i przednich wartości teatralnych”; i choć nazywa go nawet „klejnocikiem”... Taki już nawyk rewizjonizmu, że za wszelką cenę musi coś odkryć. Zlekceważy zdobycze główne, o reputacji tak ustalonej, że aż banalne — i przekornie lansować będzie marginesy. Dla podobnych zapewne powodów teatr nowohucki postanowił „Gwałtu co się dzieje” wydobyc z zapomnienia; co tu gadać — zasłużonego.

Z drugiej jednak strony wcale się nie dziwię, że scena

**Ludwik Flaszen**

# „Gwałtu co się dzieje”

ambitna przetrząsa dorobek fredrowski w poszukiwaniu czegoś nowego. Fredro jest wielki, Fredre trzeba grać. Ale właśnie on nastręcza dzisiaj nie lada kłopoty. Sporo z jego dawnych inscenizacji należy do dzieł teatru; sporo jego ról — do legendy, związanej z pierwszymi nazwiskami sceny polskiej. Przeszłość tak bogata nęci — ale i odstrasza. Legendzie dorównać niepodobna. To raz. Fredro ma sławę szkolną, podręcznikową. Jego teksty zna każdy uczeń; jego zwroty weszły w mowę potoczną; jego sytuacje i postaci weszły w anegdotę obiegową, stały się wzorami przysłowiowymi. Z Fredrą osłuchani jesteśmy do niemożliwości. Szanse dla niespodzianki, która jest warunkiem śmiechu żywiołowego — minimalne. Jeśli nawet nie znamy poszczególnych sztuk — znamy zbyt dobrze fredrowską dialektykę psychologiczną; znamy mechanizm humoru.

Tak wszedł nam w krew, że trąci — szablonem. W teatrze słucha się dziś Fredry, jak popularnej opery. Komédie przypominają libretta, aktorzy — popisy śpiewaków. Nie obchodzi nas perypetie, charakter i los bohatera — ważne jest, jak weźmie górne c. To dwa. Po trzecie zaś skalę naszej wrażliwości poszerzył humor surrealistyczny. Nie jest on już tylko przywilejem wybranych, znakiem elity; w szybkim tempie zdobywa masy. Jest to humor nie znający granic w burzeniu ustalonych hierarchii rzeczywistości, nicowaniu zbiorowych pojęć i przyzwyczajzeń — stosownie do paradoksu dziwnej epoki, w jakiej wypadło nam żyć. Dawni humorysty wydają się przy nim nobliwi i zacni: zbyt zatwardziali w swym szacunku dla prawd obiegowych. Są jak podstarzali anegdociści, zaśmiewający się z przebojowych dowcipów swej młodości w kole skonsternowanej

młodzieży. Obawiam się, że kimś takim byłby Fredro dla tych ze „Stodoły”, dla których „Król Ubu” stanowi minimum humorystycznej wrażliwości. Nie jego wina, nie ich zasługa. Czasy, panie, takie! Więc może „obrachunki fredrowskie” nie zakończono? Fredro jest wielki, Fredrę trzeba grać.

Gra się więc „Gwałtu co się dzieje”. Komediękę frywolną której przedmiot humoru stanowią nieśmiertelne rywalizacje międzypłciowe. Kobiety zdobywają władzę, sprawują wszystkie funkcje publiczne; mężom każą gotować i piastować dzieci. Ale ten świat odwrócony wraca niebawem do normy. Bo baba to baba, a chłop to chłop. Baba ma robić co do niej należy i nie wtrącać się w męskie sprawy. Ludwiku, do rondla! Nic z tego, bo Ludwik jest przeznaczony do miecza. A co za ubaw! To prawie tak, jak dowcipy o teściowej.

Reżyser przedstawienia W. Laskowska usiłowała nadać tej facecji myzogyńskiej na usługach znacznej patriarchalnej rodziny — charakter czystej zabawy, możliwie nonsensownej. Co miało nie tylko odebrać sztuce właściwy jej konserwatywny obyczajowy, ale i unowocześnić jej styl humoru. To samo strona plastyczna, uroczą zresztą, w opracowaniu M. Garlickiego. I trzeba przyznać, że przedstawienie jest w dobrym guście. Tylko nudne jak flaki z olejem. Zresztą wątplię, czy mogłoby być zabawne. Ulepszenia nie wykroczyłyby poza gatunek oleju.

Trzy sawantki grały źle, wyraźnie dbając o urodę z ujmą dla charakterystyczności, do czego zresztą przyczyniły się wdzięczne pluderki — koncepcyjny, jeśli tak można powiedzieć, grzech scenografa, dbatego o urok malarskie. Mężczyźni grali lepiej. A najbardziej podobała mi się para amantów w wykonaniu M. Gdowskiej i F. Matysika, którym udało się zadzwieć ze swych konwencjonalnych ról. I wszystko byłoby w porządku, gdybym się tak z nudów nie umęczzył.

Teatr Ludowy w Nowej Hucie.  
At. Fredro. „Gwałtu co się dzieje”.  
Reżyseria W. Laskowska.  
Scenografia M. Garlicki.